

czytamy klasykę literatury

LITERATURA FRANCUSKA

Juliusz Verne

PODRÓŻ PODZIEMNA

**PRZYGODY
nieustraszonych podróżników**

POWIEŚĆ PRZYGODOWA

WYDAWNICTWO PSYCHOSKOK



Juliusz Verne

Podróż podziemna.

Przygody nieustraszonych
podróżników

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2016

Juliusz Verne
„Podróż podziemna. Przygody nieustraszonych
podróżników”

Copyright © by Juliusz Verne, 1923
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2016

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)
Tekst oryginalny tłumaczenia: anonimowy.

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Kamil Skitek
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
Druk: Drukarnia aukc. T. Jankowskiego, ul. Wspólna 54,
Wydawnictwo „Argus” Warszawa 1923.

ISBN: 978-83-7900-736-3

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://www.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

ROZDZIAŁ 1.

O profesorze Lidenbrock i jego siostrzeńcu.

Dwudziestego czwartego maja 1863 roku w niedzielę, wuj mój, profesor Lidenbrock, wbiegł nagle do swego małego domku, położonego przy ulicy Królewskiej Nr. 19, w jednej z najstarszych dzielnic Hamburga.

Służąca przerażona była tą wczesną wizytą, gdyż obiad jeszcze nie był gotów.

— Co to będzie? — pomyślałem — jeżeli wuj mój głodny, dopiero będzie awantura!

— Przyszedł już pan Lidenbrock! — wykrzyknęła Marta zrozpaczona, wchodząc do jadalnego pokoju.

— Tak, Marto — odpowiedziałem, uspokajając starą służącą — ale obiad może być nieugotowany, gdyż brak jeszcze pół godziny do drugiej.

— A więc dlaczego pan Lidenbrock już powrócił?

— Powie nam wkrótce.

Oto już wchodzi! Panie Axelu, proszę mu przemówić do rozsądku! Ja umykam!

I poczciwa Marta zabrała się do kucharzowania. Zostałem sam, ale bojąc się gniewu profesora, o ileby był głodny, chciałem uciec do siebie, na górę. Tymczasem profesor stał już we drzwiach pokoju.

Ciężkie stąpania rozległy się, profesor przeszedł jadalnię i skierował się do gabinetu.

Przechodząc, rzucił w kąt laskę, na stół cisnął kapelusz z ogromnym rondem, poczem donośnym głosem zawołał na swego siostrzeńca:

— Pójdź za mną, Axelu!

— Cóżto? Jeszcze ciebie tu niema?

Wszedłem do gabinetu mego wymagającego pana.

Otto Lidenbrock nie był złym człowiekiem, był natomiast wielkim oryginałem.

Piastował on urząd profesora w Johanneum, wykładał mineralogję i podczas tego wykładu ze dwa razy conajmniej unosił się gniewem. Wuj mój nie cieszył się wielką łatwością wymowy, szczególnie, gdy przemawiał do publiczności, często

zaczynał się w środku zdania, nie umiając znaleźć odpowiedniego wyrażenia i stąd gniew.

Tem nie mniej jednak, wuj Lidenbrock był niezaprzeczenie wielkim uczonym. To też imię jego rozbrzmiewało wszędzie, we wszystkich murach gimnazjum i w narodowych związkach.

Znaną też była wszystkim jego świetna książka: „O przezroczystości kryształów”. Nietylko wielkim uczonym i pisarzem był sławny profesor Lidenbrock, pracował też w muzeum mineralogicznym Struvego, ambasadora rosyjskiego.

Muzeum to zyskało sławę europejską.

Wygląd profesora Lidenbrocka da się opisać w ten sposób:

Postać wysoka, chuda, o żelaznym zdrowiu, z siwiejącymi blond włosami, świadczącymi o pięćdziesiątce.

Duże oczy biegały bezustannie pod szklami okularów, nos długi i cienki, przypominał uciętą włócznię.

Dodać trzeba, że profesor szedł bardzo szybko i wielkimi krokami, ręce trzymał zawsze ze ściśniętymi pięściami, co świadczyło o gwałtownym temperamencie.

Zamieszkiwał w małym domku na Królewskiej, do połowy prawie pochylonym, który jakby się kłaniał przechodniom. Całość jednak tego domku była niebrzydka, tembardziej, że przed budynkiem rosły klomby prześlicznych kwiatów.

Wuj, a raczej stryj mój nie czerpał środków do życia z profesury. Dochody z domku i pisanie książek były źródłem utrzymania. W posiadłości jego mieszkali: stryj Lidenbrock, kuzynka siedemnastoletnia, Małgosia, ja i stara Marta.

Co do mnie, to byłem mu pomocą w jego doświadczeniach, jako jego bratanek i jako zupełny sierota.

Z wielką radością zajmowałem się nauką geologii, miałem w swych żyłach krew mineraloga i nie nudziłem się nigdy w towarzystwie mych drogich kamieni. W rzeczywistości można było żyć szczęśliwie w małym domku na Królewskiej, pomimo gwałtowności jego właściciela, gdyż, pomimo żywego usposobienia tego ostatniego, wiedziałem, że mnie bardzo kocha.

Profesor należał do rzędu tych ludzi, którzy chcieliby wyprzedzić przyrodę.

I tak, naprzykład, gdy w kwietniu zasiał w doniczkach rezedę lub inny kwiatek, to każdego ranka regularnie wyciągał ją za liście, aby przyśpieszyć wzrost rośliny.

Z podobnym oryginałem nie można było się sprzeczać. Pośpieszyłem więc

natychmiast do gabinetu.

ROZDZIAŁ 2.

Gabinet profesora i jego książki.

Gabinet profesora był prawdziwym muzeum. Wszystkie okazy z królestwa minerałów znajdowały się w szafach z napisami w nadzwyczajnym porządku.

Jakżeż wybornie znałem te kawałki minerałów! Ileż to razy, zamiast łobuzować się z chłopcami mego wieku, różniczkowałem grafity, antracyty, węgle, lignity i torf!

A żywice, sole organiczne, które trzeba było strzedz od najmniejszego pyłku! I te metale, poczynając od żelaza do złota, wszystko to było w mych rękach! Ale wchodząc do stryja, nie myślałem o tych wszystkich cudach.

Sama osoba mego stryja, myśl moją zajmowała. Siedział zagłębiany w obszernym fotelu z utrechtckiego aksamitu i trzymał w ręku książkę, której przyglądał się z uwielbieniem.

— Co za książka! Co za książka! — wykrzyknął. Okrzyk ten przypomniał mi, że profesor Lidenbrock był też miłośnikiem książek, ale książka musiała posiadać wielką wartość, jeśli ją cenił.

— A więc, — odezwał się do mnie — czy nie uważasz, że książka ta jest nieoceniona? Skarb ten znalazłem dziś u antykwarjusza Heveliusa.

— Wspaniała! — odpowiedziałem z zapałem. W rzeczywistości, czem tu się było zachwycać? Stary grat, którego grzbiet i okładka zrobione były z grubej bydlęcej skóry...

Jednakże wykrzykniki profesora nie ustawały.

— A jaki jest tytuł tej cudownej książki? — zapytałem.

— Praca ta, — odpowiedział mój stryj z ożywieniem — nazywa się: Heims Kringla, napisał to dzieło sławny autor islandzki z dwunastego wieku Snorre Turleson. Jest to kronika norweskich książąt, którzy panowali w Islandji!

— Doprawdy! — zawołałem w podziwie — czy to tłumaczenie w języku niemieckim?

— Tak! — odpowiedział profesor, — tłumaczenie! I cóżby mi było po tłumaczeniu? Ktoby tam dbał o jakieś tłumaczenie!? Jest to dzieło oryginalne w języku islandzkim!

W tej chwili uderzyła na zegarze godzina druga i Marta otworzyła drzwi gabinetu, oznajmiając:

— Zupa na stole!

— Do diabła z zupą! — zakrzyknął w złości stryj, — i z tą, co ją gotowała i z tymi, co ją będą jedli!

Marta uciekła, ja pośpieszyłem za nią i zasiadłem do stołu na swoim zwykłym miejscu.

Czekałem kilka minut. Profesor nie przychodził.

Był to za mojej pamięci pierwszy fakt, nieobecności stryja przy obiedzie. A cóż to był obiad!

Zupa z jarzyn, omlet z szynką, befsztyk z kompotem ze śliwek, a na deser ciastka wspaniałe i to wszystko skropione wybornem winem z Mozelli.

Oto co stara książka kosztowała mego wuja.

Jako dobry i przywiązany bratanek, poczuwałem się do obowiązku zjeść za siebie i za stryja. Uczyniłem to sumiennie.

— Pierwszy raz widzę coś podobnego! — rzekła zmartwiona Marta, — pan Lidenbrock nieobecny przy stole!

— Rzeczywiście! To nie do uwierzenia!

— Zapowiada to coś niezwykłego! — mówiła stara służąca, potrząsając głową.

Według mnie, nie zapowiadało to nic ważnego, prócz sceny jakiej gwałtownej na wypadek, gdy stryj mój znajdzie swój obiad zjedzony.

Kończyłem deser, gdy naraz donośny głos stryja wyrwał

mnie z tej rozkosznej funkcji i zmusił do pobiegnięcia do jego gabinetu.

ROZDZIAŁ 3.

Spostrzeżenie profesora co do siostrzeńca.

— Usiądź tutaj! — odezwał się do mnie, — i pisz!

W jednej chwili byłem gotowy.

— Będę ci teraz dyktował litera po literze z tego islandzkiego rękopisu. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Ależ, na świętego Michała! strzeż się błędu!

Rozpoczęło się dyktando. Starłem się, jak mogłem. Każda litera wypowiedana była po kolei i utworzyło to jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Kiedy już skończyłem, stryj wziął kartkę przezemnie zapisaną i bacznie się jej przyglądał.

— Co to może być takiego? — zapytywał siebie.

Na honor! Nie mogłem i ja tego wytłomaczyć.

Stryj tymczasem zdjął okulary, zbliżył do oczu lornetkę i bacznie przypatrywał się pismu.

— Axelu, — odezwał się wkońcu, — czy wiesz, co tu napisane?

Na zapytanie to nie mogłem odpowiedzieć. Cała moja uwaga bowiem zwrócona była na portret wiszący na ścianie.

Była to podobizna Małgosi, pupilki mego stryja. Znajdowała się w tej chwili w Altonie, u moich krewnych, co było powodem do wielkiej rozpacz, gdyż przyznać się teraz muszę, że piękna Małgosia i bratanek profesora Lidenbrock kochali się zawzięcie i cierpliwie. Byliśmy już narzeczonymi bez wiedzy stryja, któremu erudycja nie pozwalała na zrozumienie serdecznych uczuć.

Małgosia była śliczną blondynką o błękitnych oczach, poważnym charakterze i kochała mnie bardzo.

Obraz mej ukochanej zajął mnie tak dalece, że zapomniałem o geologii, stryja obecności i o wszystkim.

Dopiero uderzenie pięścią w stół wyrwało mnie z zadumy i otrzeźwiło.

Napisz te wyrazy, coś pisał dopiero co, na linii horyzontalnej.

Uśluchałem, i napisawszy poprzednie wyrazy i poodłączałem po literze pierwszej, potem drugiej, trzeciej i t. d.

Po ułożeniu w ten sposób wyrazów, wyczytał profesor ku wielkiemu swemu zdumieniu te słowa: „Kocham cię bardzo, moja mała Małgosiu!” — Hę! — zawołał profesor.

— Ach! to ty kochasz Małgosię? — spytał stryj tonem opiekuna.

— Tak... Nie... — wybełkotałem.

— Ach, więc kochasz Małgosię! — mówił już machinalnie, nie myśląc o tem, co mówi.

Potem podyktował mi znów całe zdanie, a nie mogąc dojść do tego, co napisane, huknął pięścią w stół, aż rozlał się atrament, pióro wypadło mi z ręki.

— To nie to, co myślałem! — wykrzyknął, potem przebiegł szybko, jak bomba, przez gabinet, popędził po schodach jak szaleniec, przeleciał ulicę Królewską i uciekł, niewiadomo w jakim kierunku szybko, ile mocy miał w nogach.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

